

GUILLAUME MUSSO

Koniec drogi może tak naprawdę
okazać się jej początkiem...

APARTAMENT W PARYŻU

ALBATROS

Tytuł oryginału:
UN APPARTEMENT A PARIS

Copyright © XO Éditions 2017
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2018

Polish translation copyright © Joanna Prądyńska 2018

Redakcja: Anna Jaroszuk

Zdjęcie na okładce: © Sarah Hadley/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki i serii: Kasia Meszka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)



Londyn, sobota przed południem.

Jeszcze tego nie wiesz, ale za niecałe trzy minuty spotka cię coś najgorszego w życiu, czego się nie spodziewasz, a co zaboli tak jak dotknięcie rozgrzanym żelazem.

Na razie spacerujesz sobie spokojnie po korytarzach galerii handlowej wyglądającej jak starożytne atrium. Po dziesięciu dniach deszczu niebo znów stało się piękne, ciemnoniebieskie. Igrające w szklanym dachu promienie słońca wprowadzają cię w dobry nastrój. Aby uczcić początek wiosny, kupiłaś sobie nawet tę czerwoną sukienkę w białe grochy, którą zauważyłaś dwa tygodnie temu. Czujesz się lekko, prawie swawolnie. Zapowiada się przyjemny dzień: najpierw lunch w restauracji w towarzystwie najlepszej przyjaciółki, Jul', potem obie pójdziecie zrobić sobie manicure, pewnie jeszcze jakaś wystawa w Chelsea, a wieczorem koncert PJ Harvey w Brixton.

Spokojne, przyjemne życie.

Ale nagle widzisz...

Małego chłopczyka, ubranego w dżinsowe ogrodniczki i granatową budrysówkę. Dwa latka, może trochę więcej. Wielkie, jasne, roześmiane oczy za kolorowymi okularami. Delikatne rysy, puciołowata buzia, krótkie loczki błyszczące jak łan zboża w letnim słońcu. Już od dłuższej chwili przyglądasz mu się z daleka, ale im bliżej do niego podchodzisz, tym bardziej fascynuje cię jego twarz. Niewinna, radosna, nieskalana strachem ani cierpieniem. Wszystko jeszcze przed nim, całe życie, nieograniczone możliwości, radość, szczęście.

On też na ciebie patrzy. Na szczerej buzi pojawia się porozumiewawczy uśmiech. Z dumą pokazuje ci metalowy samolocik, który grubymi paluszkami ścisza nad głową.

– Wrrrumm, wrrumm... – warczy, naśladując warkot silnika.

Uśmiechasz się do niego i ogarnia cię osobliwe uczucie. Powoli zaraża cię dziwnym smutkiem trucizna niezidentyfikowanej emocji.

Dziecko rozkłada ręce i zaczyna dreptać wokół kamiennej fontanny, rozpryskującej wodną mgłę pod kopułą galerii. Przez sekundę masz wrażenie, że chłopiec biegnie w twoją stronę i zaraz wskoczy ci na ręce, ale...

– Tata! Tata! Zobacz, jestem samolotem!

Podnosisz wzrok i napotykasz spojrzenie mężczyzny, który łapie dziecko w biegu. Przenika cię zimno i serce przestaje ci bić.

Znasz tego mężczyznę. Pięć lat temu przeżyliście romans, który trwał nieco ponad rok. To dla niego przeprowadziłaś się z Paryża na Manhattan i zmieniłaś pracę. Przez pół roku staraliście się nawet o dziecko, ale nic z tego nie wyszło. A potem mężczyzna, który był już ojcem jedynaka, wrócił do

swojej byłej żony. Zrobiłaś wszystko, co możliwe, by został przy tobie, to jednak nie wystarczyło. Był to dla ciebie bardzo bolesny okres, a kiedy wydawało ci się, że już się uwolniłaś, nagle go ujrzałaś i serce ci pękło.

Teraz rozumiesz, dlaczego byłaś tak dziwnie poruszona. Ten chłopczyk mógł być waszym dzieckiem, więcej, powinien nim być!

Mężczyzna poznaje cię od razu. Nie ucieka spojrzeniem. W jego oczach pojawia się smutek. Widać, że jest tak samo zaskoczony jak ty, że czuje się źle, a nawet, że jest mu trochę wstyd. Oczekujesz, że podejdzie i odezwie się do ciebie, ale on reaguje niczym spłoszona zwierzyna. Obronnym gestem obejmuje chłopca i odwraca się w przeciwną stronę.

– Chodź, Joseph, idziemy!

Ojciec i syn oddalają się, a ty nie wierzysz własnym uszom. Takie imię wybraliście dla waszego dziecka! W oczach stają ci łzy. Obrabował cię, okradł! Opada cię fala nagłego zmęczenia. Przez długą chwilę stoisz oszołomiona, skamieniała, nie możesz nawet przelknąć śliny.

*

Ledwo udaje ci się dojść do wyjścia. W uszach ci szumi, idziesz sztywno jak kukła, ręce i nogi masz ciężkie jak z ołowiu. Ostatkiem sił zatrzymujesz taksówkę przy Saint James's Park, ale przez całą drogę drzysz pod natłokiem złych myśli, które starasz się odpędzić. Nie rozumiesz, co ci jest.

W mieszkaniu idziesz prosto do łazienki, by napaść wody do wanny. Nie zapalasz światła w sypialni. Wciąż ubrana padasz na łóżko i leżysz bez ruchu. W głowie przesuwiają ci się

obrazy chłopca z metalowym samolocikiem i rozpacz, która cię ogarnęła, gdy zobaczyłaś ukochanego, przekształca się w uczucie okropnej pustki. Oczywiście płaczesz, ale myślisz, że to łzy ulgi, że ten atak sam minie. Tymczasem cierpienie narasta, puchnie i zalewa cię jak tsunami, porywa cię ze sobą, rozbija wszystkie tamy, uwalniając lata urazy i zawiedzionych nadziei. Zabliznione, jak sądziłaś, rany otwierają się.

Wkrótce lodowate macki hydry-paniki oplatają twoje członki. Nie! Zrywasz się z łóżka. Serce łomocze ci w piersi. Kilka lat temu przeżyłaś już coś podobnego i wówczas skończyło się to źle. Ale mimo że odganasz to wspomnienie, nie udaje ci się zatrzymać nieubłaganego. Nie umiesz powstrzymać dreszczy, wleczesz się do łazienki.

Apteczka. Lekarstwa. Do wanny, z której wylewa się woda, wchodzisz częściowo ubrana. Woda jest zbyt gorąca, a może zbyt zimna, nie wiesz, masz dosyć. Twoją pierś zgniata ogromne imadło. W brzuchu czujesz otchłań. Przed oczami czarno, rozpaczliwie.

Nie rozumiesz nawet, co się z tobą dzieje. Przez ostatnie lata pogubiłaś się, to prawda, od dawna jednak wiesz, jak kruche może być życie. Nie spodziewałaś się, że akurat dziś grunt usunie ci się spod stóp i że tak szybko upadniesz. Nie zdawałaś sobie sprawy, że pogrążasz się w bagnie. Ten smutek, ta trucizna, ta beznadzieja... To uczucie ciągłej samotności, które, nagle rozbudzone, pchnęło cię w nicość.

*

Butelczki z lekarstwami unoszą się na powierzchni wody jak żaglówki w bezwietrzny dzień. Otwierasz je i połykasz

tabletki garściami. Ale to nie wystarcza. Musisz wykonać zadanie do końca, więc wyjmujesz żyłkę z maszynki do golenia leżącej na brzegu wanny i przesuwasz nią w poprzek jednego i drugiego nadgarstka.

Zawsze w życiu zaciekle o wszystko walczyłaś, ale dziś już nie masz siły. Wróg nie chce cię puścić wolno, a zna cię lepiej niż ty sama. Przykładając ostrze do żył, z ironią wspominasz przesadną radość, jaką odczułaś dzisiaj rano, obserwując słońce z okien mieszkania.

Potem nadchodzi ten dziwny, uspokajający moment, kiedy czujesz, że klamka zapadła i że rozpoczęła się podróż bez powrotu. Jak zahipnotyzowana patrzysz na strumyczki krwi, które na powierzchni wody układają się w piękne arabeski. Wiesz, że odchodzisz, i myślisz, że przynajmniej zniknie ból, a w tej chwili to bezcenne.

Gdy diabeł ciągnie cię za sobą w ogień piekielny, znów powraca obraz chłopczyka. Widzisz go na plaży, patrzy na morze. W Grecji albo na południu Włoch... Jesteś tuż obok. Tak blisko, że czujesz jego zapach – pachnie piaskiem i kłosami zboża, tak przyjemnie jak lekki wiatr w letni wieczór.

Kiedy chłopiec unosi głowę i spogląda na ciebie, wzrusza cię jego śliczna buzia, zadarty nosek i przerwa między górnymi jedynekami, która sprawia, że ma tak czarujący uśmiech. Dziecko rozkłada rączki i zaczyna biegać wokół ciebie.

– Mama, patrz, jestem samolotem!

1

Syndrom Paryża

Paryż to zawsze dobry pomysł!

Audrey Hepburn

1

Lotnisko Roissy-Charles de Gaulle, hala przylotów.

W pewnym sensie piekło na ziemi.

Przed stanowiskami kontroli paszportowej kłębiły się setki podróżnych, zbitych w długiej kolejce wijącej się jak otyły wąż boa. Gaspard Coutances patrzył na rząd kabin z pleksiglasu znajdujących się dwadzieścia metrów przed nim. Stanowisk kontroli było tam mnóstwo, ale tłum pasażerów obsługiwało tylko dwóch policjantów. Gaspard westchnął. Za każdym razem, gdy tu lądował, zastanawiał się, jak zarządzający lotniskiem mogą tak lekceważyć fatalną opinię, którą ta nieudolna organizacja wyrabia Francji w oczach świata.

Przełknął ślinę. Na dodatek było potwornie gorąco. W ciężkim, wilgotnym powietrzu unosiła się okropna woń potu. Gaspard stał między nastolatkiem wyglądającym jak członek gangu motocyklowego i grupą Azjatów. Atmosfera była napięta – pasażerowie o twarzach zombi po dziesięcio- czy piętnastogodzinnym locie, wpadając do zupełnie innej strefy

czasowej, odkrywali z irytacją, że to jeszcze nie koniec ich drogi krzyżowej.

Męka Gasparda zaczęła się zaraz po wylądowaniu samolotu: mimo że z Seattle przylecieli punktualnie, tuż przed dziewiątą rano, ponad dwadzieścia minut trwało instalowanie rękawa, żeby można było opuścić pokład. Po wyjściu zaś czekały go: długi labirynt obskurnych korytarzy, prawie niemożliwe do odszyfrowania wskazówki na tablicach informacyjnych, potykanie się o nieczynne schody ruchome, przepełniony autobus, wreszcie ta ponura sala z rzędem kabin dla funkcjonariuszy sprawdzających paszporty. Witajcie we Francji!

Z ciężką torbą na ramieniu i zlany potem, Gaspard miał wrażenie, że od wyjścia z samolotu przeszedł już co najmniej trzy kilometry. Przygnębiony zastanawiał się, co w ogóle tu robi. Dlaczego rok w rok skazywał się na miesiąc samotnego pobytu w Paryżu, żeby napisać nową sztukę? Zaśmiał się nerwowo. Prosta odpowiedź brzmiała niczym slogan: technika tworzenia w środowisku nieprzyjaznym. Co roku o tej samej porze jego agentka Karen wynajmowała mu dom lub mieszkanie, gdzie mógł pracować w spokoju. Gaspard tak nienawidził Paryża, zwłaszcza w okresie Bożego Narodzenia, że bez żalu siedział zamknięty przez całe dnie i noce. W rezultacie sztuka pisała się sama, no... prawie sama. W każdym razie pod koniec stycznia była zawsze gotowa.

Kolejka posuwała się rozpaczliwie powoli. Czekanie w niej zakrawało na bohaterstwo. Podekscytowane dzieciaki wrzeszczały wniebogłosy, ścigając się między barierkami, jakaś starsza para podtrzymywała się nawzajem, żeby nie upaść, a niemowlę zwymiotowało na szyję matki zawartość wysanej

przed chwilą butelki.

– Cholerne Boże Narodzenie! – jęknął Gaspard, wdychając cuchnące powietrze.

Widząc niezadowolenie na twarzach towarzyszy niedoli, przypomniał sobie artykuł, który przeczytał w jakimś piśmie, zatytułowany *Syndrom Paryża*. Co roku wielu japońskich i chińskich turystów trafia do szpitala i często kończy się to ich przyspieszonym powrotem do domu, z powodu problemów psychicznych, które dopadają osoby po raz pierwszy odwiedzające stolicę Francji. Ledwo wysiadali z samolotu, pojawiały się dziwne objawy – bredzili, załamywali się nerwowo, mieli halucynacje, urojenia... Z czasem psychiatrzy znaleźli wyjaśnienie tych niepokojących symptomów. Zaburzenia miał wywoływać rozdźwięk między fantastyczną wizją Miasta Świateł a tym, czym Paryż był naprawdę. Turyści myśleli, że odkryją cudowny świat Amelii, ten z filmów i reklam, a lądowali w mieście trudnym i wrogim. Paryż z wyobraźni – miasto romantycznych kafejek, bukinistów znad Sekwany, Montmartre’u i Saint-Germain-des-Prés – rozbijał się z hukiem o rzeczywistość: brudne ulice, kieszonkowców, brak bezpieczeństwa, zanieczyszczone powietrze, brzydotę wielkich osiedli, odrapane wagony metra i stare autobusy.

Aby zacząć myśleć o czymś innym, Gaspard wyjął z kieszeni kilka złożonych na czworo kartek. Był to opis i zdjęcia złotej klatki, którą agentka wynajęła mu w szóstej dzielnicy. Chodziło o dawną pracownię malarza Seana Lorenza. Kuszące ujęcia przedstawiały przestrzeń otwartą, jasną, odpowiednią do odpoczynku, doskonałą na maraton pisarski, który go czekał. Zwykle nie ufał fotografiom, ale Karen oglądała to miejsce i zapewniła go, że mu się spodoba.

– A nawet więcej! – dodała tajemniczo.

Oby już się tam znaleźć!

Czekał jeszcze ponad kwadrans, zanim funkcjonariusz kontroli granicznej łaskawie rzucił okiem na jego paszport. Nieprzystępny, obojętny, nie powiedział ani „Dzień dobry”, ani „Dziękuję” i dokumenty również zwrócił mu w milczeniu, mimo że Gaspard życzył mu grzecznie „Miłego dnia!”.

Kolejna zagadkowa informacja na tablicach. Gaspard ruszył w złym kierunku i musiał zawrócić. Kaskada schodów ruchomych. Mnóstwo automatycznych drzwi, otwierających się zawsze o sekundę za późno. Na ruchomym chodniku przyspieszył. Na szczęście nie był tak głupi, żeby nadać swoją torbę jako bagaż, niewiele więc już dzieliło go od opuszczenia tego piekła. Jeszcze tylko przepchać się przez tłum, z niewiadomych przyczyn blokujący wyjście z hali przylotów. Wreszcie przebił się przez masę ludzką, potrącając całującą się parę i przeskakując przez podróżnych śpiących na podłodze. Widoczne w pewnej odległości drzwi z napisem „Wyjście – Taksówki” oznaczały koniec tej drogi przez mękę. Kilka ostatnich metrów i będzie wolny! Wsiądzie do samochodu, założy słuchawki i ucieknie w świat muzyki – Brad Mehldau na fortepianie i Larry Grenadier na basie. Po południu siądzie do pisania i...

Ulewa ostudziła jego zapał. Strugi deszczu uderzyły o asfalt. Smutne, ołowiane niebo co jakiś czas przecinały błyskawice. Żadnej taksówki na horyzoncie. Zamiast nich autokary policyjne i zdezorientowani pasażerowie.

– Co się dzieje? – spytał tragarza, który ze stoickim spokojem palił papierosa.

– Co, nie wie pan? Strajk!

W tej samej chwili na Gare du Nord Madeline Greene wysiadła z londyńskiego eurostaru, który dojechał na miejsce o dziewiątej czterdzieści siedem.

Pierwsze jej kroki na francuskiej ziemi były niepewne, czuła się tu zdecydowanie obco. Nogi miała ciężkie, krok chwiejny. Do zmęczenia dochodziły zawroty głowy, uporczywe mdłości i piekąca zgaga. Lekarz uprzedzał ją o skutkach ubocznych stymulacji hormonalnej, ale nie wyobrażała sobie, że Boże Narodzenie spędzi w takich mękach.

Walizka, którą ciągnęła, ważyła chyba tonę. Stukot kółek toczących się po betonowej nawierzchni huczał jej pod czaszką i rozsadzał głowę, wzmagając migrenę, z którą rano się obudziła.

Zatrzymała się na chwilę, żeby podsunąć suwak skórzanej kurtki podbitej kozuszkciem. Była spocona jak mysz, drżała jednak z zimna. Z trudem oddychała i przez moment obawiała się, że zemdleje, ale przy końcu peronu odzyskała część sił, jakby gorączkowa atmosfera dworca pobudziła jej organizm do działania.

Mimo złej sławy Gare du Nord zawsze ją fascynował. To, co inni brali za bałagan i brak bezpieczeństwa, dla niej było skoncentrowaną i zaraźliwą werwą. Raczej jarmark cudów, ul pełen życia, a nie slumsy. Tysiące ludzi biegało we wszystkich kierunkach, tysiące ludzkich losów krzyżowało się, rozsnuwając olbrzymią pajęczą sieć. Ciągły oszałamiający przypływ gigantycznych fal, które trzeba było umieć pokonywać, aby nie utonąć.

Dworzec przypominał jej scenę w teatrze, po której wszyscy

– turyści, mieszkańcy przedmieść, biznesmeni, chuligani, policjanci, uliczni sprzedawcy, handlarze narkotyków czy pracownicy kafejek i okolicznych sklepów – poruszali się niczym tłumy aktorów. Obserwując ludzkie mrowie pod wielkim szklanym dachem, Madeline pomyślała o jednej z tych śnieżnych kul, które babcia przywoziła jej zawsze z podróży. Dworzec był taką ogromną kulą, brzęczącą jak ul, pękającą pod naporem tłumów, tyle że bez sztucznych płatków śniegu.

Na dziedzińcu uderzył ją silny podmuch wiatru. Pogoda była tu jeszcze gorsza niż w Londynie: z brudnego nieba lały się strugi deszczu i panowała pełna duchoty wilgoć. Tak jak uprzedzał Takumi, dziesiątki taksówek blokowały dojazd do dworca. Ani autobusy, ani samochody osobowe nie zabierały pasażerów, zostawiając wszystkich na pastwę losu. Grupa dziennikarzy z telewizji filmowała wciąż ten sam skecz odgrywany przed kamerą przez przekrzykujących się strajkujących i podróżnych – gazety i kanały informacyjne uwielbiały takie sceny.

Madeline przyspieszyła kroku, żeby wyminąć hałaśliwe zbiegowisko. Dlaczego nie wzięłam parasolki? – jęknęła w duchu, przechodząc przez ulicę w kierunku boulevard de Magenta. Ponieważ szła skrajem chodnika, ochlapał ją pierwszy z samochodów, który wjechał w kałużę. Przemoczona i wściekła ruszyła w dół rue Saint-Vincent-de-Paul, w stronę kościoła parafialnego. Tam za kierownicą furgonetki zaparkowanej w drugim rzędzie czekał na nią zawsze punktualny Takumi. Jego pstrokate auto ozdobione było wesołym napisem, który kontrastował z panującą dokoła szarością: „Cudowny ogród – Kwiaty – 3 bis rue Delambre – 75014 Paryż”. Madeline zamachała ręką na przywitanie i szybko wsiadła do samochodu.

– Ciao, Madeline, witaj w Paryżu! – Kwiaciarz uśmiechnął

się, podając jej ręcznik.

– Cześć, stary! Strasznie się cieszę, że cię widzę!

Wycierając włosy, przyglądała się młodemu Azjacie. Takumi miał krótką fryzurę, sztruksową marynarkę i jedwabną chustkę na szyi. Na czubek okrągłej głowy wsadził flanelowy kaszkiet w kratkę w taki sposób, że widać było małe, odstające uszy, co upodabniało go do myszki. Nosił rzadkie wąsy, bardziej podobne do zarostu dorastającego chłopca niż do tych, które zdobiły twarz Thomasa Magnuma. W ogóle się nie postarzał od chwili, gdy Madeline opuściła Paryż, zostawiając mu śliczną kwiaciarnię, gdzie zatrudniła go kilka lat wcześniej.

– Super, że po mnie wyjechałeś! Dzięki! – powiedziała, zapinając pas.

– Nie ma za co, nie dałabyś rady dojechać dziś sama z powodu tych cholernych strajków!

Takumi wrzucił pierwszy bieg i skręcił w rue d'Abbeville.

– Jak widzisz, nic się tu nie zmieniło od twojego wyjazdu...
– Wskazał na grupę manifestantów. – Z każdym dniem jest coraz gorzej!

Wycieraczki starego renault z trudem odgarniały strumienie deszczu zalewające przednią szybę.

Mimo kolejnego ataku mdłości Madeline zmusiła się do kontynuowania rozmowy.

– Więc jak tam ci idzie? Nie bierzesz urlopu na Boże Narodzenie?

– Biorę, ale pod koniec przyszłego tygodnia, nie wcześniej. Pojedziemy na święta do rodziny Marjolaine. Jej rodzice mają gorzelnię w Calvadosie w Normandii.

– Jeśli wciąż masz tak słabą głowę, to zapowiada się nieźle!

Twarz Takumiego stała się purpurowa. Przeczulony jak

dawniej ten Takumi! Uśmiechnęła się pod nosem, obserwując przez okno rozmywający się miejski pejzaż. Furgonetka dotarła na boulevard Haussmann, a pół kilometra dalej skręciła w rue Tronchet. Mimo ulewy, mimo strajku Madeline była zadowolona, że tu przyjechała.

Lubiła mieszkać na Manhattanie, ale nie umiała korzystać z tej magicznej energii tak wychwalanej przez niektórych jej przyjaciół. Prawdę mówiąc, Nowy Jork ją wykończył. Jej ukochanym miastem zawsze był Paryż, tu przyjeżdżała lizać rany. W Paryżu mieszkała przez cztery lata. Niekoniecznie te najpiękniejsze, ale przynajmniej te najważniejsze, podczas których starała się zorganizować od nowa swoje życie, odzyskać wiarę w siebie, odrodzić się.

Do 2009 roku pracowała w Anglii, w wydziale kryminalnym policji w Manchesterze. Tam jako głównej inspektor przypadło jej makabryczne śledztwo – sprawa Alice Dixon – które zniszczyło ją psychicznie i zmusiło do opuszczenia służby. Straciła wówczas wszystko: pracę, szacunek kolegów, pewność siebie. W Paryżu zaczęła sprzedawać kwiaty: wynajęła mały sklepik w dzielnicy Montparnasse, z dala od spraw kryminalnych, morderstw, zaginionych dzieci. To spokojniejsze życie załamało się, gdy przypadkowe spotkanie podsunęło jej zaskakujący trop pozwalający pociągnąć dalej śledztwo, które zrujnowało jej karierę. W końcu sprawa Alice Dixton zakończyła się szczęśliwie w Nowym Jorku. Okoliczności, w których Madeline odniosła ten sukces, pozwoliły jej wstąpić do służb administracji WITSEC-u, federalnego programu ochrony świadków. Zostawiła wówczas swoją małą kwaciarnię Takumiemu i poleciała do Nowego Jorku. Rok później policja nowojorska zaproponowała jej stanowisko konsultantki w

wydziale spraw niewyjaśnionych. Madeline miała za zadanie rzucić świeżym okiem na niektóre z umorzonych śledztw. Praca, która byłaby ekscytująca w serialu telewizyjnym lub w kryminale Harlana Cobena, w rzeczywistości okazała się arcynudną papierkową robotą. W ciągu czterech lat ani razu nie oddelegowano Madeline w teren, nie udało jej się też oficjalnie wznowić żadnej ze spraw. Wydział, w którym pracowała, nie miał funduszków i zderzał się z biurokracją tak wielką, że przy niej biurokracja francuska była niczym. Każda prośba o analizę DNA wymagała wypełnienia sterty formularzy, a żeby uzyskać zgodę na przesłuchanie dawnego świadka czy w ogóle dotarcie do pewnych dokumentów, trzeba było przedstawić szaloną liczbę zezwoleń. W rezultacie FBI, które strzegło najbardziej interesujących spraw kryminalnych, i tak wszystkie jej inicjatywy odrzucało.

Bez żalu więc porzuciła tę pracę i wróciła do Anglii. Miała nawet do siebie pretensje, że tak się zasiedziała w Stanach. Od czasu bowiem, kiedy Jonathan Lempereur, człowiek, którego pokochała i dla którego przeniosła się na Manhattan, wrócił do żony, nic już tak naprawdę nie trzymało jej w tym kraju.

– Wiosną będziemy mieli z Marjolaine dziecko – zwierzył się jej nagle Takumi.

Ta rewelacja wyrwała ją z zamyślenia.

– Och, to wspaniale! – wykrzyknęła, starając się, żeby te słowa zabrzmiały radośnie.

Ale jakoś jej nie wyszło. Takumi szybko zmienił temat.

– Dlaczego właściwie przyjechałaś do Paryża? – zapytał.

– Takie tam różne sprawy... – odparła wymijająco.

– Jeśli chciałabyś spędzić z nami święta, serdecznie zapraszam!

– To bardzo miłe z twojej strony, ale raczej nie. Nie miej mi tego za złe, po prostu potrzebuję побыć sama.

– Jak chcesz.

Znów zapadła cisza, tym razem ciężka. Madeline nie próbowała jej przerwać. Wyglądała przez okno, szukając znajomych miejsc, starając przypomnieć sobie okres, kiedy życie w Paryżu było jej codziennością. Place de la Madeleine skierował jej myśli ku zorganizowanej w pinakotece wystawie, poświęconej Dufy’emu. Rue Royale skojarzyła się z bistro, gdzie podawano fenomenalną cielęcinę w sosie śmietanowym. Z kolei na moście Aleksandra III pomyślała o swoim wypadku motocyklowym, do którego doszło tam pewnego deszczowego dnia...

– Masz jakieś plany zawodowe? – spytał Takumi.

– Oczywiście – skłamała.

– Widziałaś się ostatnio z Jonathanem?

Nie twój zasrany interes! – zirytowała się w myślach.

– Koniec przesłuchania? Przypominam ci, że to ja jestem policjantką!

– No właśnie już nią nie jesteś, jeśli dobrze wszystko zrozumiałem...

Madeline westchnęła. Takumi naprawdę zaczynał działać jej na nerwy.

– Dobra, będę szczerą! – oświadczyła. – Ani jednego pytania więcej! Byłeś u mnie praktykantem, odsprzedałam ci swój biznes, zgoda, ale to nie znaczy, że możesz wsadzać nos w nie swoje sprawy!

Gdy przejeżdżali przez esplanade des Invalides, Takumi spoglądał na Madeline spod oka. Nic się nie zmieniła. Zawsze była szczerą aż do bólu, zawsze w tej samej skórzanej kurtce... i

te jasne włosy obcięte równo nad karkiem, trochę oldskulowo...

Podenerwowana Madeline opuściła szybę i zapaliła papierosa.

– Co, wciąż jeszcze palisz? – oburzył się Takumi. – To bardzo nierozsądne!

– Zamknij się! – rozkazała, prowokacyjnie dmuchając mu dymem prosto w twarz.

– Nie! Nie w moim samochodzie! Nie chcę, żeby tu potem śmierdziało szlugami!

Madeline, korzystając z faktu, że furgonetka zatrzymała się na czerwonym świetle, chwyciła walizkę i otworzyła drzwi samochodu.

– Co ty wyrabiasz?! – wrzasnął Takumi.

– Jestem już za stara, żeby wysłuchiwać tanich morałów. Dojdę do domu pieszo.

– Nie, zaczekaj...

Ale trzasnęła drzwiami i odeszła szybkim krokiem po chodniku rue de Grenelle.

Wciąż lało.

3

– Strajk? Co za strajk?! – warknął Gaspard.

Tragarz wzruszył ramionami i machnął ręką.

– No wie pan, jak zwykle...

Gaspard osłonił czoło dłonią, żeby chronić twarz przed strugami lejącego deszczu. Oczywiście nie miał parasola.

– I co, nie ma taksówek?

– Nie ma. Może pan spróbować RER B, ale kursuje co

trzeci pociąg.

Świetny pomysł, lepiej umrzeć!

– A autobus?

– Nie wiem... – Tragarz skrzywił się, wypalając końcówkę papierosa.

Wściekły Gaspard wrócił do terminalu. W kiosku z gazetami przejrzał „Le Parisien”. Główny artykuł nosił wymowny tytuł: *Wielka blokada*. Taksówkarze, kolejarze, pracownicy metra, kontrolerzy ruchu lotniczego, stewardesy i stewardzi, kierowcy ciężarówek, dokerzy, listonosze i śmieciarze – wszyscy zagrozili rządowi, że sparaliżują kraj, jeśli wzbudzające tyle kontrowersji ustawy nie zostaną wycofane. W artykule dodano, że można się spodziewać następnych strajków i że jeśli rafinerie zostaną zablokowane, niewykluczone, że w całym kraju za kilka dni zabraknie benzyny. Jakby tych nieszczęść było mało, najpierw na początku miesiąca wyjątkowo długo utrzymywał się duszący smog, teraz zaś Sekwana, osiągnąwszy najwyższy w historii poziom, wylała w okolicach Paryża, co bardzo skomplikowało ruch samochodowy.

Gaspard zamknął oczy. Wciąż to samo, za każdym razem, gdy tylko wracam do tego cholernego kraju... Koszmar trwał, ale irytacja Gasparda powoli ustępowała miejsca obojętności.

Co tu zrobić? Gdyby miał komórkę, zadzwoniłby do Karen. Nigdy jednak nie chciał kupić telefonu. Tak jak nie miał komputera, tabletu, adresu mailowego i nie zaglądał do internetu.

Trochę naiwnie rozejrzał się po lotnisku w poszukiwaniu budki telefonicznej. Wyglądało na to, że wszystkie zniknęły.

Autobus był jego ostatnią nadzieją. Wyszedł i bezskutecznie zaczął szukać jakichś informacji. Dobry kwadrans zajęło mu

zrozumienie subtelnych różnic między trasami obsługiwanymi przez autokary Air France. Następnie, rozzłoszczony, przyglądał się dwóm odjeżdżającym busom, tak zatłoczonym, że nie dał rady do nich wsiąść.

Kolejne pół godziny czekania w rzęsimym deszczu. W końcu udało mu się dostać do środka jednego z autokarów. Oczywiście nie miał co marzyć o miejscu siedzącym, ale przynajmniej jechał w dobrym kierunku: była to linia z przystankiem przy Gare Montparnasse.

Ściśnięci jak sardynki i ociekający wodą pasażerowie szybko pogodzili się ze swoim losem. Gaspard, przyciskając do piersi torbę podróżną, przypomniał sobie, że Dostojewski definiował człowieka jako istotę, która przywyknie do wszystkiego. Do tego, że depta się jej po stopach, że się ją potraça i szarpie, że kicha się jej prosto w twarz, że musi stać między spoconymi nieznanymi w duchocie i dzielić z innymi pasażerami metalowe poręcze pełne złośliwych mikrobów...

Gaspard znów miał ochotę jak najszybciej wyjechać z Francji, ale powstrzymał się, pocieszając się, że czeka go tylko miesiąc tej męki. Jeśli skończy sztukę w terminie, już za niecałe pięć tygodni znajdzie się w Grecji, na wyspie Sifnos, gdzie trzyma żaglówkę. Spędzi tam przełom zimy i wiosny. Cóż to za cudowna perspektywa! Cztery miesiące żeglowania po Cykladach, cztery miesiące romantycznego obcowania z żywiołami, niezapomniane wrażenia, wspaniałe kolory: oślepiająca biel ścian pociągniętych wapnem, odbijających promienie słoneczne, kobaltowy błękit nieba i głęboki turkus Morza Egejskiego. W Grecji Gaspard żył w panteistycznej symbiozie z pejzażem, roślinnością i unoszącymi się wszędzie zapachami. Upojony morskim powietrzem, spacerował po

chaszczach i zaroślach, przechadzał się wzdłuż murów z wykruszonego kamienia i delektował się wonią tymianku, szaflwii, oliwy oraz grillowanej ośmiornicy. Szczęście to trwało do połowy czerwca, bo gdy ze statków zaczęli wysypywać się turyści, uciekał do Ameryki, do swojej chaty w Montanie.

Tam żył z kolei w zupełnie inny sposób: jak traper otoczony nieujarzmioną dziką przyrodą. Dni spędzał na łowieniu pstrągów, włóczeniu się po brzozowych zagajnikach i wokół jezior, maszerowaniu wzdłuż rzek i strumieni. Było to życie samotne, ale bogate we wrażenia, z dala od brudnych miast i ich anemicznych mieszkańców.

Autokar włókł się metr za metrem autostradą A3. Przez zaparowane szyby Gaspard dostrzegał niekiedy fragmenty drogowskazów prowadzących do miejscowości na północno-wschodnich przedmieściach Paryża: Aulnay-sous-Bois, Drancy, Livry-Gargan, Bobigny, Bondy...

Bardzo potrzebował tych samotnych pobytów na łonie natury. Musiał się oczyścić, zmyć z siebie truciznę cywilizacji. Od dawna prowadził wojnę z nerwowym chaosem świata dążącego do samozagłady. Świata, który pękał w szwach i którego Gaspard już nie rozumiał. Jak prawdziwy mizantrop czuł silniejszą więź z niedźwiedziami, ptakami drapieżnymi i węzami niż z tak zwanym bliźnim. Był przy tym dumny, że potrafił się odciąć od znieawidzonego społeczeństwa, że udawało mu się spędzać większość czasu poza nim i poza jego prawami. Od dwudziestu pięciu lat nie włączył telewizora, nie wiedział nic o internecie i jeździł dodge'em z końca lat siedemdziesiątych.

Jego pustelnicze życie cechował ascetyzm, ale nie radykalny. Gdy miał powód, odstępował od przyjętych zasad. Od czasu

do czasu opuszczał ulubione góry lub grecką kryjówkę i wsiadał do samolotu, by dotrzeć do Juan-les-Pins na koncert Keitha Jarretta, do Rotterdamu na wystawę Bruegla lub do Werony na *Toscę* wystawianą w słynnym amfiteatrze. No i jeszcze trzeba do tego dodać miesiąc pisania w Paryżu. Sztuka dojrzewała w jego myślach przez cały rok, a potem siadał przy biurku i spędzał przy nim szesnaście godzin dziennie. Za każdym razem wydawało mu się, że już nie ma pomysłów, że brak mu inspiracji czy ochoty, tajemniczy proces sam się jednak rozpoczynał. Słowa, sceny, dialogi i odpowiedzi wypływały z jego głowy jak ze źródła i układały się na kolejnych stronach w sensowną całość. Pióro zapisywało myśli w sposób zwięzły i pozbawiony patosu.

Sztuki Gasparda przetłumaczono na prawie dwadzieścia języków i grane były na całym świecie. Tylko w poprzednim roku w Europie i Stanach wystawiono około piętnastu spektakli. Jedna z jego ostatnich sztuk, *Ghost Town*, grana na deskach Schaubühne, kultowego berlińskiego teatru, została nominowana do Nagrody Tony. Twórczość Gasparda podobała się głównie prasie opiniotwórczej, która trochę go przeceniała.

On sam nigdy nie oglądał przedstawień na podstawie swoich sztuk oraz nie udzielał wywiadów. Z początku Karen niepokoiła się tą decyzją o niepokazywaniu się w mediach, ale po pewnym czasie umiała już to wykorzystać i stworzyła „tajemnicę Gasparda Coutances’a”. Koniec końców, im mniej się angażował publicznie, tym bardziej media wychwalały go pod niebiosa. Porównywano go do Kundery, Pintera, Schopenhauera czy Kierkegaarda. Gaspardowi wcale to nie schlebiało, ponieważ był przekonany, że jego sukces jest wynikiem nieporozumienia.

Minąwszy Bagnolet, autokar utknął na obwodnicy, po czym zjechał quai de Bercy do Gare de Lyon. Tam miał bardzo długi postój – wysiadła ponad połowa pasażerów – następnie zaś ruszył w kierunku zachodnim.

Sztuki teatralne Gasparda ukazywały absurdalną i tragiczną stronę życia, w tym samotność jako nieodłączny element ludzkiej egzystencji. Przebijała przez nie niechęć autora do szaleństwa współczesnych czasów, nie było tam śladu złudzeń, optymizmu, dobroci, nie kończyły się happy endem. Chociaż pełne desperacji i okrucieństwa, były jednak przesycone humorem. Oczywiście nie w stylu *Koko* Giraulta, *Klatki szaleńców* Molinara czy *Au théâtre ce soir*, ale były to przedstawienia żywe i dynamiczne. Karen mówiła, że wywołują w widzu poczucie swobody, a w krytyku wrażenie, że jest inteligentny. Może to wyjaśniało uwielbienie publiczności i fakt, że najpopularniejsi aktorzy bili się, by móc wypowiadać na scenie sarkastyczne teksty autorstwa Gasparda.

Przejechali na drugi brzeg Sekwany. Boulevard Arago. Smutne i skromne dekoracje bożonarodzeniowe przypomniały Gaspardowi, jak nie znosił tego okresu w roku i tego, czym to święto się stało: wulgarnego biznesu. Potem utknęli w korku na place Denfert-Rochereau, tuż przed wejściem do katakumb. Wokół pomnika Lwa z Belfortu zebrała się grupka manifestantów, którzy wymachiwali flagami w barwach trzech związków zawodowych: CGT, FO i FSU*. Kierowca opuścił szybę w oknie, żeby zamienić parę słów z policjantem, który regulował ruch. Nadstawiając ucha, Gaspard zrozumiał, że

* Confédération Générale du Travail (CGT), Force Ouvrière (FO), Fédération Syndicale Unitaire (FSU).

avenue du Maine jest zablokowana, podobnie jak wszystkie drogi dojazdowe do wieży Montparnasse.

Drzwi autokaru otworzyły się z sykiem charakterystycznym dla mechanizmu pneumatycznego.

– Koniec trasy, wszyscy wysiadają! – ogłosił rozbawiony kierowca, a przecież zostawiał ich na pastwę losu.

Na zewnątrz burza rozpętała się na dobre.

4

Z powodu strajku i blokady zakładów utylizacyjnych Paryż zasypany był śmieciami. Przed restauracjami, bramami i sklepami leżały góry wypchanych plastikowych worków. Zdarzało się, że zniechęceni, zniesmaczeni i rozżłoszczeni turyści robili sobie ironiczne selfie przed przepelnionymi kontenerami.

Madeline w strumieniach deszczu szła rue de Grenelle, ciągnąc za sobą walizkę, która z każdym stumetrowym odcinkiem stawała się o kilogram cięższa. Madeline postanowiła, że się nie da. Aby dodać sobie odwagi, zaczęła obmyślać plan na najbliższe dni. Spacer po Wyspie św. Ludwika, musical w Châtelet, sztuka w Théâtre Édouard VII, wystawa Hergégo w Grand Palais, potem kino: *Manchester by the Sea* i kilka wieczorów w restauracji, samotnie... Bardzo potrzebny był jej taki pobyt. Przyjechała tu, aby odpocząć i pozbierać się psychicznie. Paryż miał dla niej magiczną moc.

Starła się nie myśleć o operacji, która czekała ją za kilka dni. Gdy minęła rue de Bourgogne, nagle przestało padać, a kiedy doszła do rue du Cherche-Midi, nieśmiało wychynęły

zza chmur pierwsze promienie słońca. Madeline uśmiechnęła się. Zaczęła szukać na smartfonie maila od firmy, od której dostała ofertę wynajmu domu.

„Mieszkanie w Paryżu” – te słowa wpisała w wyszukiwarkę internetową miesiąc wcześniej, gdy zdecydowała się na przyjazd tutaj. Po kilkudziesięciu kliknięciach i półgodzinnym błądzeniu po sieci znalazła stronę agencji nieruchomości wyspecjalizowanej w wynajmowaniu nietypowych domów i mieszkań. Dom był dla niej o wiele za drogi, ale tak jej się spodobał, że nie chciała już mieszkać nigdzie indziej. Obawiając się, że ktoś jej zwinie go sprzed nosa, natychmiast wyjęła kartę kredytową i potwierdziła rezerwację.

W wiadomości dotyczącej szczegółów wynajmu znajdował się dokładny adres oraz pełno kodów umożliwiających dostanie się do środka. Według wskazówek, dom stał przy allée Jeanne-Hébuterne. Była to ślepa uliczka odgrodzona żelazną bramą, naprzeciwko restauracji Chez Dumonet. Madeline rozpoznała bramę po łuszczącej się farbie i ze wzrokiem wbitym w ekran komórki wystukała na domofonie cztery cyfry, które pozwoliły ją otworzyć.

Gdy brama się zamknęła, Madeline znalazła się w sanktuarium z innej epoki. Najpierw zauważyła wspaniałe rośliny – kapryfolium, bambusy, jaśmin i magnolie, krzaki pomarańczy meksykańskiej, pierisu japońskiego i budlei Dawida, które wprowadzały nastrój wiejskiej sielanki. Obcesowość miasta gdzieś zniknęła. W głębi zamkniętego podwórka odkryła grupę czterech jednopiętrowych domków, otoczonych warzywnikami, porośniętych bluszczem i passiflorą.

Jej dom stał jako ostatni w zaułku, zupełnie inny od pozostałych. Sześcian ze zbrojonego betonu, ozdobionego

szachownicą z czerwonych i czarnych cegieł. Madeline wstukala kolejny kod, żeby otworzyć wielkie stalowe drzwi, nad którymi widniał napis z kutego żelaza: „Cursum Perficio”^{*}.

Kiedy tylko weszła do holu, wydarzyło się coś dziwnego: nagle poczuła się oczarowana, prawie tak, jakby się zakochała. Zachwyty, który trafił w samo serce. Skąd to uczucie, że jest u siebie? To wrażenie nieokreślonej harmonii? Czy to zasługa aranżacji wnętrza? Czy może miodowego światła wpadającego przez okna? Zestawienia z chaosem panującym na zewnątrz?

Madeline zawsze była wrażliwa na wygląd miejsc, w których się znajdowała. Bardzo długo jej praca polegała między innymi na rozszyfrowywaniu ich tajemnic, z tym że były to przeważnie miejsca zbrodni...

Postawiła walizkę w kącie i powoli przeszła się po wszystkich pokojach. Cursum Perficio było trzypoziomową pracownią malarską z częścią mieszkalną – całość z lat dwudziestych – doskonale odnowioną, otaczającą obrośnięte roślinnością patio.

Na parterze znajdowała się kuchnia, skąd można było przejść do jadalni i wielkiego pustego salonu. Schodkami z jasnego drewna schodziło się trochę niżej, do pomieszczenia na poziomie ogrodu, podzielonego na dwie sypialnie, których okna wychodziły na fontannę pokrytą pnączami. Pierwsze piętro było całkowicie zajęte przez ogromne atelier, jeszcze jedną sypialnię i łazienkę.

Madeline była zachwycona. Dłuższą chwilę stała w pracowni, pozostając pod wrażeniem wielkich, ponadczterometrowych okien wyciętych w dachu, przez które widać było niebo i

^{*} Tu kończy się moja droga (łac.).

wierzchołki drzew. W opisie agencyjnym przeczytała, że dom należał kiedyś do malarza Seana Lorenza. Rzeczywiście pracownia wyglądała tak, jakby artysta przed momentem z niej wyszedł – podłoga błyszczała od jaskrawych plam, wszędzie stały sztalugi i blejtramy w różnych rozmiarach, w szafkach zostawiono czyste płótna. Na stole obok słoików z farbami leżały pędzle i pędzelki oraz farby w aerozolu.

Trudno jej było opuścić atelier. Zanurzenie się w osobistym świecie malarza oszołomiło ją i wywołało dziwny niepokój. Wróciła do salonu i otworzyła szklane drzwi prowadzące na taras. Odurzył ją zniewalający zapach kwiatów rosnących na patio. Z uśmiechem zaczęła przyglądać się dwóm rudzikom, które wykręcały piruety przed karmnikiem przymocowanym do muru. Poczula się jak na wsi, Paryż przestał istnieć. Oto, co zrobi: weźmie kąpiel, a potem usadowi się na tarasie z filizanką herbaty i dobrą książką.

W tym domu znów się uśmiechała. Miała rację, kierując się przecuciem i przyjeżdżając tutaj. W Paryżu naprawdę wszystko może się zdarzyć.

5

Trzymając nad głową marynarkę, Gaspard przeskakiwał z chodnika na chodnik i przeklinał ulewę. Pasek od torby wbijał mu się w ramię. Z Denfert-Rochereau biegł bez przerwy aż do stacji metra Edgar Quinet. Na rue Delambre wreszcie znalazł się na znajomym terenie. Dwa lata wcześniej Karen wynajęła mu wielkie mieszkanie na rogu square Delambre. Dobrze pamiętał tę ulicę: mała szkoła, hotel Lenox, Jardin

Extraordinaire z wystawą pełną kwiatów i restauracje, gdzie czasem jadał – Sushi Gozen i Bistrot du Dôme.

Gdy dotarł do boulevard du Montparnasse, deszcz ustał. Gaspard włożył marynarkę i przetaił szkła okularów. Dzikie, niezrozumiałe dźwięki wypełniały ulicę. Petardy, megafony, gwizdki, syreny alarmowe i hasła wrogie rządowi. Szeroka arteria pełna była manifestantów. Zwarty pochód czekał, żeby ruszyć rue de Rennes. Gaspard rozpoznał żółte fluorescencyjne kamizelki i czerwone bezrękawniki związkowców CGT, skupionych wokół wielkiego balonu i głośnika, przez który zagrzewano tłum gotowy do marszu protestacyjnego.

Gaspard wstrzymał oddech i wskoczył między ludzi trzymających flagi i transparenty. Oby jak najszybciej znaleźć się na boulevard Raspail! Poczul ulgę, gdy dotarł w spokojniejsze miejsce. Oparł się o latarnię, żeby odsapnąć. Cały spocony, wyciągnął z kieszeni instrukcję, którą przysłała mu Karen, i jeszcze raz odczytał adres oraz wskazówki, jak dostać się do domu. Ruszył w drogę, kiedy nieśmiało promienie słońca zaczęły odbijać się od mokrego chodnika.

Na rogu rue du Cherche-Midi poprawiła mu humor wystawa sklepu z winami Le Rouge et le Noir. Upewniwszy się, że w środku nie ma klientów, wszedł. Wiedział dokładnie, co chce kupić, skrócił więc do minimum rozmowę z właścicielem i dziesięć minut później maszerował już ze skrzynką pełną grand cru: Gevrey-Chambertin, Chambolle-Musigny, Saint-Estèphe, Margaux, Saint-Julien...

Alkohol...

Dostrzegłszy swoje odbicie w szybach mijanych wystaw, pomyślał o tej strasznej scenie z początku filmu *Zostawić Las Vegas*, kiedy bohater grany przez Nicolasa Cage'a wchodzi do

sklepu monopolowego i wrzuca do wózka mnóstwo butelek alkoholu. To był początek jego samobójczego zejścia do piekieł...

Z pewnością Gasparda to jeszcze nie dotyczyło, ale alkohol był nieodłączną częścią jego dnia. Przeważnie pił sam, czasem jednak zdarzało mu się brać udział w pamiętnych pijackich ucztach w knajpach takich jak Columbia Falls, Whitefish czy Sifnos. Chlał wtedy na umór z prostakami, którzy nie mieli pojęcia o istnieniu Bruegla, Schopenhauera, Milana Kundery czy Harolda Pintera.

Był to najskuteczniejszy środek na zaleczenie ran i spowodowanie, żeby życie stało się mniej tragiczne. Alkohol jako współnik pomagał wykrzesać nieco beztroski z bezbarwnej egzystencji. Raz przyjaciel, raz wróg, okazał się tarczą trzymającą emocje na odległość, zbroją chroniącą przed stresem, najlepszym lekarstwem na bezsenność. Hemingway mówił, że człowiek inteligentny musi się nieraz upić, żeby wytrzymać z głupcami. Otóż to. Alkohol nie rozwiązywał oczywiście problemów, ale służył jako doraźny środek pozwalający znieść obecność nieprzebranych pokładów miernoty, która, według Gasparda, skaziła ludzkość.

Gaspard wiedział, że alkohol może w końcu zwyciężyć. Nawet potrafił to sobie wyobrazić: nadejdzie dzień, kiedy życie wyda mu się tak nieznośne, że nie będzie umiał stawić mu czoła na trzeźwo. Przez sekundę miał przed oczami scenę, jak jego zwłoki giną w przepaściach wypełnionych alkoholem. Szybko przegonił ten koszmar i wówczas spostrzegł, że dotarł do granatowej bramy.

Trzymając skrzynkę z winem pod pachą, wystukał cztery cyfry kodu, które strzegły wejścia do allée Jeanne-Hébuterne.

Gdy tylko znalazł się w zaułku, poczuł, jak ogarnia go spokój. Przez dłuższą chwilę z niedowierzaniem patrzył na zadrzewiony pasaż. Miał wrażenie, że przeniósł się gdzieś na prowincję, w przeszłość, do jakiegoś innego, równoległego świata. Czas płynął tu wolniej – dwa koty leniwie wygrzewały się w słońcu, ptaki ćwierkały na gałęziach czereśni. Chaos ulicy wydawał się bardzo odległy i trudno było uwierzyć, że wszystko to dzieje się zaledwie kilkaset metrów od tej okropnej wieży Montparnasse.

Zrobił parę kroków po ścieżce z nieregularnych kostek brukowych. Nieopodal, trochę w ukryciu za krzewami, stały rzędem kamienne, tynkowane domki. Złotobrazowe fasady, widoczne za zardzewiałymi bramami, pozarastane były bluszczem i dzikim winem. Na samym końcu zaułka wznosiła się śmiała konstrukcja geometryczna. Równoległocią zbrojonego betonu, przecięty z jednej strony opalizującym pasem okien, z frontem w szachownicę z czarnych i czerwonych cegieł. Nad wejściem wisiał napis „Cursum Perficio”. Tak nazywał się ostatni dom Marilyn Monroe. Przy drzwiach znów kod. Gaspard przeczytał instrukcję Karen i stalowe drzwi uchyliły się z lekkim kliknięciem.

Ciekawy wnętrza, szybko minął hol i wszedł do salonu. Pokój nie wyglądał tak jak na zdjęciach – wyglądał znacznie lepiej. Dom został zmyślnie zaprojektowany wokół prostokątnego patio łączącego się z tarasem w kształcie litery L.

– Cholera! – zaklął cicho Gaspard zaskoczony elegancją wystroju.

Napięcie ostatnich godzin zniknęło. Znalazł się w innym wymiarze, wnętrze było przytulne i dodawało otuchy. Funkcjonalne, przyjazne, szlachetnie proste. Przez chwilę zastanawiał się nad źródłem tych krzepiących wrażeń, ale

nie znalazł się zupełnie ani na architekturze, ani na harmonii odpowiednio dobranych proporcji – jego specjalnością były słowa.

Zwykle podchodził do wystroju wnętrz obojętnie. Wrażenie na nim robiły raczej pejzaże: ośnieżone szczyty odbijające się w tafli górskiego jeziora, błękitnawa biel lodowców czy upajający ogrom sosnowych lasów. Nie wierzył w te głupstwa typu feng shui i we wpływ umeblowania na przepływ energii w pomieszczeniu. Tutaj jednak musiał przyznać, że poczuł jakieś pozytywne fale, i miał pewność, że będzie mu się tu dobrze mieszało i pracowało.

Uchylił wielkie szklane okno, wyszedł na taras i oparłszy się o balustradę, korzystał w pełni ze śpiewu ptaków i zniewalającej sielskiej atmosfery. Zerwał się wiatr, ale było ciepło i słońce ogrzewało mu twarz. Po raz pierwszy od dawna Gaspard się uśmiechnął. Aby uczcić przyjazd w to piękne miejsce, postanowił otworzyć butelkę Gevrey-Chambertin i nalać sobie kieliszek, który następnie uniesie powoli do ust i...

Jakiś hałas wyrwał go ze stanu euforii. Najwyraźniej ktoś tu był. Może sprzątaczką? Albo stróż? Gaspard wrócił do środka, żeby sprawdzić.

Wtedy zauważył obcą kobietę, która patrzyła na niego. Była naga, okrywał ją tylko ręcznik, który zasłaniał piersi i spadał na uda.

– Kim pani jest i co pani robi u mnie w domu? – spytał.

Kobieta spojrzała na niego wściekle.

– O to samo chciałam zapytać! – rzuciła.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).